

"Aresztowany przez NKWD feralnego dnia 4 lutego 1945 roku postanowiłem trzymać się uparcie zasady: "nic nie wiem, omyłka". To doprowadziło do szwajcarskiej pasji siepaczy, którym, jak się zorientowałem, znany był mój pseudonim "Orland" oraz moje uczestnictwo w akcji "Lustronem". Złość swoją wyładowywali w brutalny fizyczny sposób, zaprawiony ordynarnymi, plugawymi wyzwiskami, ilustrującymi nienawiść do polskich bandytów z AK, do narodu polskiego, który chciał Polski "od morza do morza" i w ogóle do tej pluskwy - Polski, która powinna zniknąć z mapy świata. Przekonałem się, że organa śledcze to przeważnie umyślowo tępi zbroje o wybitnych skłonnościach sadystycznych, lubujący się w ordynarnych plugastwach słownych, nastawieni szowinistycznie do całego świata, szczególnie do Polski. Nie jest to konkluzja pod wrażeniem pierwszego dnia, ale całego długotrwałego ciągu męczących przesłuchań.

Ponieważ nie przyznawałem się do mego pseudonimu, za każdym razem otrzymywałem dwa potężne ciosy w twarz i głowę z jednej i drugiej strony - tak dla równowagi. Szczególnie przyjemność sprawiało im skandowanie: "od morza do morza", a wyglądało to tak: cios z jednej strony jako odpowiednik "Od morza" oraz "do morza", przy ciosie z drugiej strony. Przy pierwszym spotkaniu straciłem włosy na głowie /zostały wyrwane/. Od rązów i wyrywania włosów twarz i cała czaszka były opuchnięte i obolałe. Zdumiewało mnie to, że tyle nienawiści nie tylko do mnie jako polskiego "bandyty", ale w ogóle do Polski i do Polaków może siedzieć w tych, którzy powinni być wyrazicielami przyjaźni między narodami. Oni zostali wychowani w nienawiści do nas widocznie dlatego, że im, szowinistom i zaborcom, nie udało się nas upokorzyć. Ponieważ od rana, przechodząc od Annasza do Kajfasza nie mówiłem więcej prócz: "nie wiem, to omyłka", pod wieczór poddano mnie specjalnej, fizycznej obróbce. W pomieszczeniu 2x2 m czterech potężnych zbirów, pod każdą ścianą jeden, a w rogu muszla i zmywak, jak się okazało do obmywania krwi. Zaczęła się mordercza młocka ze wszystkich stron, miała przerwa

na zmycie krwi z twarzy i pytanie, czy będę mówił. Odpowiadam, że nic nie wiem, że to pomyłka, wobec tego dalszy ciąg, ale nieco w innym wariancie. Barczysty byk z potężną siłą pcha mnie w kierunku kolesis, który momentalnie pcha mnie z powrotem i tak na wszystkie strony. Kto chciałby spróbować takiej zabawy w takim mistrzowskim wykonaniu, przekona się, jak w pewnych momentach odczuwa się straszliwy ból, jak wszystko pcha się do gardła, zdaje się, że coś w uszach pęka i oczy wychodzą z orbit. Znowu mała przerwa na "kosmetykę", znowu pytanie i ta sama odpowiedź, wobec tego następna próba. Ponieważ bardzo krwawiłem, przerwano zabawę, sprowadzono z 3-go piętra na podwórko, posadzono na ciężarówkę z brezentową budą, pod którą było już dwóch żołnierzy z automatami, samochód ruszył i po kilkunastu minutach znalazłem się w jakiejś, nabitej ludźmi, mrocznej celi, oświetlonej kagankiem, znajdującym się w otworze w ścianie nad drzwiami. Znalazłem skrawek wolnej przestrzeni na podłodze, skuliłem się, czułem, że cały jestem obolały i opuchnięty. Sen zmorzył mnie, ale przede wszystkim nie dawała spokoju myśl, że w spodniach, w kieszonce na zegarek, mam na bibułce spis około 50-ciu pseudonimów AK-owców, formującej się na nowo dzielnicy "Śródmieście". Korzystając z półmroku wysuplałem ów niebezpieczny papierek, połknąłem i doznałem pewnej ulgi, po czym natychmiast usnąłem. Nie dano mi jednak pospać, bo w środku nocy wywołano mnie z celi i przewieziono z powrotem na ul. Słowackiego na dalszy ciąg śledztwa. Każde śledztwo zaczynało się od każdorazowo od wypełnienia formularza. Znowu litania pytań dotyczących danych osobistych podejrzanego zapełniłem nowy arkusz papieru, a na końcu sakramentalne powiedzonko: "będziemy mówić?" Niby pytanie, niby twierdzenie. Tym razem, kiedy znowu odpowiedziałem, że nic nie wiem, że to omyłka, zamiast okładać mnie rękami i częstować wyzwiskami, prowadzący przesłuchanie zaczął przekonywać mnie, że moim uporem nic nie wskóram, że sam sobie szkodzę, że przyznając się do winy spotka mnie mniejsza kara, że oni i tak wszystko wiedzą ale chcą się dowiedzieć jaki ze

mnie człowiek. Gdy jemu nie wyszło brał mnie w obroty następny, zaczynając wszystko od Adama i Ewy. Nie obeszło się bez fizycznych argumentów i obowiązkowo rosyjskiej łaciny. Tymczasem czułem jak wzrasta ból na każdym skrawku ciała. Czułem ból i szum w opuchniętej i obolałej głowie, a do tego doszło jeszcze uczucie straszliwego głodu i pragnienia, gdyż od dwóch dni nic nie miałem w ustach prócz owego, wspomnianego, niebezpiecznego papierka. Po wznowieniu przesłuchania, kiedy z uporem twierdziłem, że to omyłka i że nic nie wiem, otworzono drzwi sąsiedniego pokoju i ujrzałem "Jerzego", który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Tadeusz Nowacki, był elewem "Rysia" w konspiracyjnej Podchorążówce, którą ukończył i otrzymał stopień kaprała podchorążego i był d-cą drużyny w plutonie "Rysia", z którym był w stałym konspiracyjnym kontakcie. Zapytano mnie, czy go znam. Odpowiedziałem, że nie znam tego człowieka, że widzę go po raz pierwszy. "Jerzy" na pytanie, czy mnie zna odpowiedział, że nazwiska nie zna ale pseudonim mam "Orland". Na pytanie czy ten "Orland" brał udział w napadzie na Gastronom, odpowiedział że tak. Po jego odpowiedziach oświadczyłem, że to jakiś pomyleniec, że należy skierować go do psychiatry. Wyprowadzono go, a oficer śledczy zwrócił się do mnie: "-Zaraz zobaczymy kto pomyleniec". A ja w tym czasie czułem się fatalnie. Bolały mnie mięśnie, bolały mnie kości, szum w spuchniętej, obolałej głowie. Czułem, że pali mnie żar wewnętrzny i równocześnie trzęsły mną dreszcze. Oprócz dokuczliwego głodu i pragnienia czułem nieprzepartą potrzebę snu. Trzymałem się jak mogłem, ale obawiałem się osłabienia woli. Powiedziałem śledczemu, że jestem głodny i spragniony i chcę bardzo spać. "Jeśli powiesz całą prawdę dostaniesz jeść, pić i położysz się spać". Zaczął mnie czarować, że nie chodzi im o mnie a o "Rysia", że on mnie ozłoci, gdy dam mu "Rysia". Gdy odpowiedziałem mu, że zaistniała jakaś pomyłka, bo ja nic nie wiem - odparł, że od "Jerzego" dowiedzieli się, iż ja wiem nawet gdzie "Ryś" mieszka i jak się nazywa. Była to niestety prawda. Kazał żołnierzowi podać kawałek chleba i garnek ciepłej wody i zwrócił

się: "Patrz - zaraz będziesz jadł, gdy powiesz, gdzie mieszka "Ryś"". Nie dałem się skusić ani wyprowadzić z równowagi, spokojnie, zręzygowanym głosem jeszcze raz oświadczyłem: "Ten wasz "Jerzy" /wymawiali "już" / kłamie, ja nie wiem nicę, to jakaś pomyłka". Prowadzący przesłuchanie nagle przemienił się w dziką bestię i zaczął wrzeszczeć, okładać mnie kułakami i nogą od krzesła oraz grozić Bóg wie czym, ale widocznie sam czuł się mocno zmęczony, bo wrzasnął: "żryj", a gdy wykonałem polecenie kazał odwieźć mnie do więzienia, ale nie do celi ogólnej, a do ciemnicy nie większej niż metr na metr, zwanej w żargonie więziennym "sobaczyj jaszczyk", co po polsku znaczy psia skrzynka, w której była woda po kostki i kapeła z sufitu. Długo tam nie można było wytrzymać. Trafiałem tam jeszcze kilka razy, ale po upływie jednej doby wracałem do ogólnej celi, nie tej, w której dotychczas przebywałem, tylko do celi na karnej delegacji, gdyż w tymczasowym areszcie, w którym zostałem umieszczony, nie było tego rodzaju cel. I tu z głodu omal nie wyciągnęłem kopyt, ponieważ tymczasowo aresztowani mieli prawo codziennie otrzymywać z domu nawet ciepłą strawę i władze więzienne nie troszczyły się o ich wyżywienie a tylko od czasu do czasu wydawały należne porcje chleba z ciepłą wodą. Po dwóch tygodniach zrobił się ze mnie szkielet, gdyż wśród więźniów nie było uczynnych i skłonnych dzielić się ze mną. W tymczasowym areszcie na Jachowicza nie było łaźni i dlatego więźniów prowadzono do łaźni w tzw. Brygidkach przy ul. Kazimierzowskiej. W tym pochodzie szedłem sam jeden w asyście dwóch automatczyków, a dopiero chyba ze 20 m za mną reszta kolumny. W łaźni tkwił w tynku kawałek zmętniałego lusterka, gdy spojrzałem w nie - osłupiałem. Byłem dosłownie fioletowy jak burak. Teraz zrozumiałem dlaczego współwięźniowie wdychali i patrzyli na mnie, jakby z politowaniem, ilekroć wracałem z przesłuchania. Wybitnie fatalnym dniem był dla mnie dzień mniej więcej w połowie lutego. Ponieważ śledczy nie mógł ze mnie nic wydobyć, postawił mnie na korytarzu, na "baczność" naprzeciw płonącego gazu, który jak pochodnia buchał z rury i ogrze-

wał pomieszczenie. Obok mnie, z dwóch stron, postawił dwóch ~~kajdanych~~ strzelców z automatami, których zadaniem było pilnowanie mnie, abym nie stanął na "spocznij", nie siadł na podłodze lub nie oparł się o ścianę. Zaczęła się ta inkwizycja mniej więcej o godzinie 18-tej. Bojcy sumiennie i w brutalny sposób wypełniali zadanie, zmieniając się co dwie godziny, a ja bez przerwy stałem, otrzymując uderzenie automatem ilokroć próbowałem sobie nieco pofolgować. A tymczasem gorąca pochodnia waliła mnie prosto w twarz, ze straszliwego gorąca zdawało się, że mi coś głowę rozewie, że lada chwila upadnę i zemdleję, a mimo to trzymałem się, kładąc się nadzieją, że ktoś da rozkaz przerwania tej tortury. Tymczasem płynęła godzina za godziną. Czułem jak z tego gorąca kapie mi pot do butów. Wyparowała woda z organizmu, pojawiło się okropne pragnienie i osłabienie. Coraz częściej otrzymywałem uderzenia automatem, czasem nie wiedząc za co - od dzielnych żołnierzyków, którzy na pewno otrzymali po wojnie odznaczenia za odważne znęcanie się nad bezbronnymi na tyłach frontu. Tak wytrzymałem do godziny 8-mej rano. Nie wiem jak długo trwałaby jeszcze ta męczarnia, gdyby nie pewien oficer, który przyszedł rano do roboty. Od niego usłyszałem, że na dworze jest 15 stopni mrozu. Wspominam o tym, przecież wnet z tym mrozem będę miał do czynienia. Nie litość, nie współczucie kierowały tym oficerem ale sadystyczne cięgoty. "Co wy urządzacie ciepłarnię temu polskiemu bandycie, jemu tu ciepło, on będzie tu wiek stał, do zimnicy z nim" - zawołał. Zaraz zdjęto ze mnie ubranie i w bieliźnie znalazłem się w pomieszczeniu obok, w którym okna były pootwierane na oścież. Kazano mi obrócić się twarzą do ściany z rękami do tyłu i stać nieruchomo. Po godzinie zacząłem dygotać z zimna, po dwóch zaczęło mi brzęczeć w czaszce, coraz mocniej coraz głośniejsze, po pewnym czasie zaczęło się granie w piersiach. Oddychanie przestało być odruchowe, każdy oddech wysiłkiem, przeciskanie się świstu przez szczelinę tchawicy. Pojawił się w piersiach streszny ból i pieczenie. A tymczasem śledczy od czasu do czasu zwracał się z dobrotliwym apelem do mego rozsądku, do mego młodego wieku, do mego

życia, które może się przydać mnie i innym. Wszystko to piękne i mamiące ale jakim kosztem? Kosztem wydania w ich ręce przyjaciela i kolegi z ławy szkolnej. Nigdy nie miałem ciagot do samobójstwa, a tu zanosilo się na to. Zdawałem sobie sprawę, że gdy ogarnie mnie błoga senność, będzie to zamarzanie, ale na razie, prócz dygotania, którego nie mogłem opanować, czułem, że się duszę. I tu przyszedł mi do głowy pomysł na miarę Konrada Wallenroda czy Almazora z "Alpuhery". Zawołałem: "będę mówił". Wprowadzono mnie do znajdującego się obok ogrzewanego pokoju, śledczy podał dzbanuszek z wrzątkiem i kawałek chleba. Byłem tak spragniony, że wypilem chyba z litr tego błogiego, ciepłego nektaru i ^{zaraz} poczułem, że jeszcze żyję. Śledczy wziął arkusz papieru i rozpoczęła się ponowna litania znanych mi już pytań. Gdy doszło do skłedenia zeznań, oświadczyłem, że chcę jeszcze raz podkreślić, że nic nie wiem, to jest jakaś pomyłka i kłamstwo. Do dziś śmieszy mnie wypowiedź śledczego: "ty podły psie, ja tobie ciepłego wrzątku, a ty mnie takie świństwo". Obserwało mi się za to porządnie w jaki tylko sposób było możliwe. W kilkadni później, choć jak już wspomniałem zawsze pragnąłem żyć, zostałem zmuszony przez śledczego do przeżycia makabrycznej sytuacji, w której wystawiłem życie na prawdziwe ryzyko. Tym razem śledczy - pułkownik - najpierw oddał mnie w ręce ~~wspomnianą~~ ^{opisaną już} czwórki zbirów, później, a była to głęboka noc, zaczął się żalić, że przez takich niegodźców jak ja, on nie może w domu odpocząć po ludzku. Nie wiem czym się kierował ale wyjął pistolet z kabury, położył na biurku w zasięgu mojej ręki i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Przypuszczam, że ta pukawka nie była nabita, bo przecież w żadnym wypadku nie mógłby wierzyć w moją absolutną poczytalność. Wrócił, wziął pistolet, wyszedł ponownie, by za chwilę wrócić z pistoletem /nie wiem czy tym samym/ i zaczął mi grozić w następujący sposób: "Jeżeli nie zaczniesz przyznawać się, strzele ci w łeb i napiszę protokół, że zginąłeś w czasie ucieczki. Naturalnie, gdyby ktoś pytał o to, ale kto będzie pytał o takie g...." Kazał mi odwrócić się twarzą do ściany i zawyrokował: "Jeżeli, zanim doliczę do trzech nie zaczniesz zeznawać i przyznawać się, ~~chocobyś padł na kolana i błę~~ po wypowiedzi-

niu "trzy" rozwałę ci łeb, choćbyś padeł na kolana i błagał o litość, ale wtedy już będzie za późno. W czasie odliczania apelowałem do mego rozsądku i ganiłem moją głupotę, która wystawia na ryzyko młode życie. Gdy wypowiedział "trzy" i huknął strzał. Nie życzę nikomu przeżyć takiego momentu. Ogłuszony hukiem nie wierzyłem sobie, że jeszcze żyję. Czy to już koniec? Ale szybko opanowałem się. Nie wiem czy to był ostry nabój, wystrzelony gdzieś w bok, czy tzw. ślepek. "No i swołocz /kanelia/ z ciebie" - zawołał pułkownik i ciągnął dalej. "My tu nie będziemy brudzić sobie pomieszczenia twoją krwią. Wywieziemy ciebie w tę ciemną noc w pewne miejsce, gdzie już grób czeka na ciebie." Kazał mnie wyprowadzić na podwórze otoczone murem, wejść do samochodu pod budę, gdzie już było czterech uzbrojonych żołnierzy i dał kierowcy znak do odjazdu. Gdy kierowca ruszył z miejsca, dał mu znak do zatrzymania się i kazał mi wysiąść. Tak z poszerpanymi narwami wróciłem jednej nocy dwukrotnie z tamtego świata.

Zeby opisać ^{całe} śledztwo trzeba by zużyć jeszcze sporo papieru ale nie wiem czy po tylu latach byłbym w stanie odtworzyć te wszystkie przeżycia w zgodzie z kolejnością w jakiej zaszły i w zgodzie z datami, tym bardziej, że miało się okresy i sytuacje takie, że traciło się kontakt z rzeczywistością w sensie utraty kontaktu z kalendarzem. Używano różnych sposobów, między innymi wprowadzanie do celi konfidentów i prowokatorów demaskujących więźniów. Jednym z nich był "Sas", Jan Kulikowski, który w celi ze mną przebywał trzy dni. Niczego od niego ^{kogo} nie udało się wyciągnąć, ponieważ wszyscy szybko zorientowali się w jego roli. Po latach dowiedziałem się, że to on wydał "Rysia" i "Marka".

Muszę oddać szacunek temu rozsądkowi, mojej logicznie myślącej głowie, która nie dała się sprowokować do niepotrzebnej, często szkodliwej paplaniny. Wybronić się całkowicie nie było możliwe. Ale mojej głowie zawdzięczam i jestem dumny, że mam absolutnie czyste sumienie wobec "Rysia", Bronisława S., mego przyjaciela i kolegi z ławy szkolnej, za którego strasznie oberwałem i wobec innych, o których mnie pytano, a których się wyparłem. Przewodniczący trybunału wytknął mi, że będę pokutował za tych, których im nie dałem.